

## JAN SCHMAGER

**Andrzej Michał Kobos [AMK]** – *Panie Doktorze, czy był Pan zaangażowany w jakąś opozycyjną działalność w latach siedemdziesiątych?*

**Jan Schmager [JS]** – Nie byłem. Magisterium zrobiłem w 1966. Zostałem na stażu asystenckim, potem krótko pracowałem w Instytucie Pediatrii w Prokocimiu. W 1967 otworzyła się możliwość zatrudnienia mnie w Zakładzie Antropologii w Instytucie Zoologii UJ, obecnie przy ul. Ingardena 6, w którym pracowałem do października ubiegłego roku, do przejścia na emeryturę. Znał Pan środowisko akademickie lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych – nie było tam wielu możliwości działalności opozycyjnej.

**AMK** – *W lecie 1980 „ruszyło się”. Co pamięta Pan z tego okresu na Uniwersytecie Jagiellońskim?*

**JS** – Pamiętam to tak. Na początku powstał niezależny samorządny związek pracowników PAN-u, którego jednym z założycieli był Krzysztof Görlich. Odwiedzał wydziały Uniwersytetu i namawiał, aby pracownicy zapisywali się do tego związku. Był to dość rozproszony ruch. Nie było jeszcze ogólnopolskiej „Solidarności”, zakładano różne koła związkowe na poszczególnych wydziałach, nawet w instytutach. Pamiętam, że nasze zebranie wydziałowe odbyło się w Instytucie Geografii, w Arsenale Władysława IV przy ul. Grodzkiej 64. Tam postanowiono stworzyć na Wydziale Biologii i Nauk o Ziemi (BiNoZ) koło Związku Zawodowego Pracowników Polskiej Akademii Nauk. Były jednak głosy, aby poczekać i zobaczyć, co z tego wszystkiego wyniknie. Pamiętam też, że już na drugim zebraniu pojawiły się głosy, aby zmienić poprzednią uchwałę i przystąpić do „Solidarności”, ale ktoś zauważył, że związek PAN-owski też już tak zadecydował, więc czy zrobimy to sami, czy razem, nie ma znaczenia. Tak też się stało. Przewodniczącym Komisji Wydziałowej „Solidarności” BiNoZ-u został Jan Kozłowski, wówczas jeszcze doktor. Każdy instytut miał swoje koło „Solidarności”. W naszym Instytucie Zoologii UJ jego przewodniczącą była pani profesor Anna Krzysztofowicz, a ja wiceprzewodniczącym. Wtedy w Instytucie pracowało

około 150 osób – to był duży zespół. Praktycznie wszyscy zapisali się do „Solidarności”.

Tak zaczęło działać koło, jeszcze słabo zorganizowane, ale pracowało nieźle, może dlatego, że wtedy wszyscy mieli ogromny entuzjazm, spodziewali się różnych zmian, których potem i tak nie udało się w większości zrealizować. Dopiero później zaczęły pojawiać się rozmaite problemy, prywatne animozje, próby rozgrywania swoich interesów. Szczegółów nie pamiętam i nawet nie chcę pamiętać, ale takie wrażenie pozostało.

**AMK** – *Co utkwiło Panu w pamięci z późniejszego okresu pierwszej „Solidarności”?*

**JS** – Właśnie to, o czym wspomniałem: panował ogólny entuzjazm i chęć działania. Na zebrania przychodziło bardzo wiele osób. Wszystko było nowe, świeże i wydawało się dość proste, pomysłów było mnóstwo, ale nikt, na dobrą sprawę, nie znał ani naszych możliwości, ani uprawnień. Na początku działano metodą nieco „partyzancką”, dopóki nie stworzono właściwego stylu czy metody pracy. Gdy profesor Michał Pułaski został wybrany na przewodniczącego Komisji Zakładowej, wtedy działania zostały uporządkowane i ukierunkowane. Był bardzo poukładanym człowiekiem, wiedział, czego chce. Nie byłem członkiem uczelnianej Komisji Zakładowej „Solidarności”, tylko delegatem na różne wyborcze zebrania, więc mogę wypowiadać się tylko bardzo ogólnie.

W naszym Instytucie do PZPR należało może cztery–pięć osób, ale to nie byli wojujący komuniści. Żartowaliśmy, że wszyscy mieszczą się w windzie, i jadąc na szóste piętro, odbywają zebrania podstawowej organizacji partyjnej. Paru z nich przychodziło na zebrania „Solidarności”, okazywało sympatię, zresztą później chyba wszyscy pooddawali legitymacje partyjne i bodaj wszyscy też zapisali się do „Solidarności”.

Współpraca pomiędzy panią profesor Krzysztofowicz i mną układała się dobrze, zresztą nie wyobrażam sobie, o co można byłoby się spierać z osobą tak mądrą, dobrą, życzliwą i szczerze zaangażowaną nie tylko w związkowy ruch solidarnościowy, ale także w pomoc humanitarną dla potrzebujących czy pokrzywdzonych. Jeżeli można mówić o podziale funkcji, to pani profesor przypadły kontakty z członkami oraz wyższymi strukturami „S” i władzami statutowymi Uniwersytetu, ja raczej zajmowałem się sprawami „technicznymi” i organizacyjnymi.

W okresie przed powstaniem „Solidarności” działałem również w Towarzystwie Asystentów UJ i zostałem wybrany, jako przedstawiciel TA UJ, do Senatu Uniwersytetu. Przez cztery kadencje uczestniczyłem w jego posiedzeniach, także przez okres stanu wojennego.

Pamiętam pierwsze wybory rektorskie, elekcję rektora profesora Józefa Andrzeja Gierowskiego. Był on właściwym kandydatem, bo oprócz innych

pozytywów mógł być zaakceptowany przez ministra szkolnictwa wyższego, który z urzędu wyznaczał rektora. W swoich działaniach rektor Gierowski często wspierał prace Komisji Zakładowej „S”, także w czasie, kiedy przeszła „do podziemia”.

Kiedy skończyły się dwie kadencje rektora Gierowskiego, trzeba było znaleźć kandydata, który z jednej strony nie działałby prowokująco na ówczesne władze państwowe, a jednocześnie byłby po myśli społeczności akademickiej i człowiekiem sympatyzującym z ruchem solidarnościowym.

Pierwszym po drugiej wojnie światowej, wybranym wyłącznie przez społeczność uniwersytecką, rektorem został w 1987 profesor Aleksander Koj. Jego żona, pani profesor Anna Marchlewska-Koj, śmiała się, że jest córką pierwszego rektora, który był mianowany i żoną pierwszego rektora, który był demokratycznie wybrany. Nawiasem mówiąc, myśl o kandydaturze profesora Aleksandra Koj została podjęta na zebraniu Tajnej Komisji Zakładowej „S” w naszym mieszkaniu przy ul. Smoleńsk 20. Nie było wątpliwości ani zastrzeżeń do jego osoby i po krótkiej dyskusji wszyscy ją zaakceptowali.

**AMK** – *Wracając do okresu przed stanem wojennym – pod koniec okresu legalnej „Solidarności” były strajki okupacyjne studentów i pracowników...*

**JS** – Tak. Był rotacyjny strajk okupacyjny w Collegium Novum. Brało w nim udział wiele osób delegowanych m.in. z naszego Instytutu. Ja też tam byłem, co prawda niezbyt długo, chodziło bowiem o to, aby przewodniczący i wiceprzewodniczący kół „Solidarności” czuwali nad sytuacją w swoich instytutach.

**AMK** – *Co pamięta Pan z 13 grudnia 1981?*

**JS** – O wprowadzeniu stanu wojennego dowiedzieliśmy się z żoną dopiero rano, ponieważ nasza córka bezskutecznie czekała na *Teleranek*. Dopóki nie usłyszeliśmy komunikatu WRON-u, nie wiedzieliśmy, co się dzieje. Wcześniej już zostało ustalone, że gdyby wydarzyło się coś ważnego, np. strajk generalny, mieliśmy oflagować budynek Instytutu Zoologii. Więc po godzinie dziewiątej rano poszedłem do Instytutu, to przecież było niedaleko od naszego mieszkania. Ulice były kompletnie puste. Z portierem Stanisławem Pawlikowskim wywiesiliśmy flagę, rozglądając się trochę nerwowo dookoła; on trzymał drabinę, a ja wywiesiłem flagę nad wejściem (po kilku dniach ktoś ją ściągnął, nie wiem kto i jak). Pozostałem w Zakładzie, po mniej więcej godzinie przyszła pani profesor Anna Krzysztofowicz. Nie wiedzieliśmy, co jeszcze można zrobić, telefony były nieczynne, więc porozmawialiśmy chwilę o tym, co się zdarzyło, i o tym, co trzeba będzie zrobić w poniedziałek, po czym poszliśmy do domów.

**AMK** – *Niedługo potem zawiązała się Tajna Komisja Zakładowa „Solidarności”.*

**JS** – Dopiero później zaproponowano poszczególnym osobom z wydziałów członkostwo w Tajnej Komisji. Nie pamiętam, kiedy to było. Myślę, że moją kandydaturę zgłosiła pani profesor Krzysztofowicz, z którą razem weszliśmy do uniwersyteckiej Tajnej Komisji jako przedstawiciele Wydziału BiNoZ.

**AMK** – *W Państwa mieszkaniu przy ul. Smoleńsk odbywało się wiele spotkań Tajnej Komisji...*

**JS** – Kiedy zgodziłem się na udział w Tajnej Komisji, było dla mnie jasne, że należy starać się, by nasze zebrania mogły się odbywać w miejscach pozwalających na swobodne rozmowy i dyskusje, a więc w prywatnych mieszkaniach. Potrzebne było mało rzucające się w oczy i mało krępujące miejsce, gdzie moglibyśmy się spotykać. Nasze mieszkanie było duże. Położenie kamienicy (ul. Smoleńsk 20) było dobre, bo w centrum miasta, ale przy mało zatłoczonej ulicy, nie na szlaku turystycznym. Chodzili tamtędy ludzie, np. do kina „Kijów”, na Salwator lub w drugą stronę, do kościoła ss. Felicjanek. W kamienicy nie mieszkał nikt, kto by śledził wchodzących czy wychodzących. Spotkania odbywały się także w innych mieszkaniach, m.in. u pani profesor Krzysztofowicz przy al. Mickiewicza 57 czy u Zygmunta Wasylewskiego przy obecnej ul. Lea.

Na zebrania Tajnej Komisji przychodzili: prof. Anna Krzysztofowicz, prof. Ewa Miodońska, Basia Niemiec, Ania Rażny, prof. Kazimierz Godłowski, prof. Michał Pułaski (ale nie zawsze), prof. Lucjan Suchanek, Zygmunt Wasylewski, Staszek Krzyszkowski, jako przedstawiciel pracowników administracji Uniwersytetu, z Mat-Fizu – Tomek Dohnalik<sup>1</sup>, a potem Romek Wit, z Wydziału Prawa chyba Zbigniew Doda. Czasem dołączał do nas prof. Andrzej Pelczar, byli też zapraszani inni goście, w zależności od omawianych spraw. Jeżeli kogoś pominąłem, przepraszam.

**AMK** – *Mieliście Państwo wtedy małą córkę, ryzykowaliście sporo...*

**JS** – Nie ocenialiśmy tego z żoną Małgorzatą w kategoriach ryzyka. Traktowaliśmy to jako działania normalne i w pewnym stopniu związane z tradycjami rodzinnymi. Zarówno rodzice żony, jak i moi byli nastawieni antykomunistyczne. Teść Henryk Hanek miał kontakty z WiN-em, mój Ojciec, Gustaw, i Matka, Aniela, działali w Armii Krajowej; podczas wojny, w wózku pode mną Matka przewoziła ulotki, w rodzinnym mieszkaniu przy

---

<sup>1</sup> Jego brat, nieżyjący już dr inż. Paweł Dohnalik, był również działaczem i inicjatorem założenia Koła „Wodnik” NSZZ „S” w Instytucie Gospodarki Przestrzennej i Komunalnej w Krakowie, przy pl. Na Stawach.

ul. Grodzkiej 43 odbywały się tajne zebrania, w których brał udział Jan Jakóbiec, delegat Rządu Londyńskiego na okręg krakowski. Po wojnie ukrywali to, nie ujawnili się, ponieważ podczas okupacji Matka pisywała w prasie podziemnej antybolszewickie artykuły i wiersze pod pseudonimem „Jemioła”. Patriotyczną edukację przeszedłem również w reaktywowanym po 1956 roku harcerstwie. W 7 KDH, do której należałem, instruktorami byli ludzie, którzy na własnej skórze odczuli metody działania władzy ludowej w PRL-u bezpośrednio po wojnie.

Poza tym przez cały czas trwania stanu wojennego byłem również kolporterem bibuły. Do naszego mieszkania od czasu do czasu przynoszone były paczki z gazetkami lub ulotkami, które następnie dostarczałem pod znane mi adresy na ul. Piastowską, do Nowej Huty albo na Wolę Justowską.

No tak, mieliśmy 7-letnią córkę Kasię<sup>2</sup>, ale ona wiedziała, że chwaleniem się tym, co robią rodzice, może nas wszystkich wpędzić w kłopoty. Chodziła z nami na manifestacje patriotyczne na Wawel. Była ze mną 13 maja 1982 na Rynku. Wycofaliśmy się dosłownie w ostatnim momencie – ZOMO już zamykało wszystkie dojścia. Mówiąc wprost, nie chcieliśmy w takich chwilach stać z boku, ale robić to, co było dla nas oczywiste i naturalne.

**AMK** – *Jakimi sprawami zajmowała się Tajna Komisja?*

**JS** – Pomagaliśmy władzom uniwersyteckim w tym sensie, że wspieraliśmy w imieniu „Solidarności” pewne działania rektora, prorektorów czy dziekanów. Wydając takie czy inne decyzje, mogli oni wszyscy odczuwać akceptację społeczności akademickiej. Byliśmy czynni podczas wyborów dziekańskich. Mam poczucie, że była to praca przede wszystkim dla Uniwersytetu oraz, w stopniu, w jakim było to możliwe, pomoc lub wsparcie dla Regionu i organizacji związkowych w zakładach pracy. Oczywiście, włączaliśmy się także do akcji regionalnych lub ogólnopolskich.

Mieliśmy również wiadomości „z góry”. Basia Niemiec, która była w Zarządzie Regionu, informowała nas o ważnych wydarzeniach; przynosiła sprawy, którymi trzeba się było zająć na Uniwersytecie. Na ogół chodziło o uzgadnianie działań, które miały być przeprowadzone lub rozpropagowane wewnątrz Uniwersytetu, np. kolportaż ulotek, manifestacje czy akcje protestacyjne.

Mieliśmy też problem z przechowaniem drukarni, a dokładniej maszyn offsetowych, które przez pewien okres pracowały w Instytucie Chemii UJ. W obawie przed nalotem postanowiono przenieść je do Instytutu Zoologii (Instytut Chemii stoi po przeciwnej stronie ul. R. Ingardena, wtedy mającej za patrona M. Karasia). Henryk Głąb, obecnie kierownik Zakładu Antropo-

---

<sup>2</sup> Dzisiaj po mężu Pawlik (AMK).

logii, i Andrzej Kosydarski przenieśli i schowali te urządzenia – nawet nie chciałem wiedzieć gdzie.

Osobnym problemem był kolportaż. Z Akademii Górniczo-Hutniczej dostawaliśmy m.in. gazetkę, która nazywała się „Dzień...” i miała odpowiedni kolejny numer dnia stanu wojennego. Nieco później dowiedziałem się, że „Dzień” redagował fizyk Krzysztof Kułakowski, obecnie profesor AGH. Było wiele innych tytułów prasy podziemnej, która przechodziła drogami naszego kolportażu.

**AMK** – *Andrzej Burzyński z fizyki wydawał miesięcznik „Jajogłowiec”. Podobno pochodzenie tego pisma, wówczas nieznane, kwestionowała Tajna Komisja Zakładowa.*

**JS** – Wiem, że było takie pisemko, ale nie pamiętam tej sprawy. Zresztą dystrybucja niektórych wydawnictw nie była specjalnie sprawnie prowadzona, miały one raczej znaczenie lokalne, instytutowe.

W Tajnej Komisji były także rozpatrywane wnioski o pomoc dla różnych osób w taki czy inny sposób represjonowanych lub organizowane zbiórki pieniędzy dla tych, którzy ucierpieli w akcjach ZOMO (13 maja na Rynku, w Nowej Hucie, w Alei Róż i pod „Arką”). Studentka, Justyna (?) Witas, którą strumień wody z armatki wepchnął w witrynę sklepową, poważnie ucierpiała; potem miała kłopoty z chodzeniem, staraliśmy się jej pomóc.

Organizowano również dystrybucję pomocy zagranicznej, ubrań czy leków. Te ostatnie dostawaliśmy do Instytutu m.in. poprzez profesora Zbigniewa Chłapa z Akademii Medycznej. Był on w organizacji „Lekarze bez granic” (francuska nazwa „Medicens du Monde”). Spotykałem się z nim także, gdy zostałem delegatem UJ do tajnej Międzyuczelnianej Komisji Porozumiewawczej.

Był również problem rozdziału pomocy żywnościowej, przekazywanej przez „Solidarność” Rolników Indywidualnych. Uniwersytet miał punkt odbiorczy w klasztorze oo. Karmelitów na Piasku, przy ul. Karmelickiej. Niektórzy pracownicy odbierali tam dary sami, ale część tej żywności przewożono do instytutów lub rozwożono do emerytów.

W sumie – według mojej oceny – zajmowaliśmy się raczej rozwiązywaniem problemów pracowników z Uniwersytetu i sprawami związkowymi, jakimi zajmuje się każdy ruch społeczny, będący w opozycji, np. kolportażem gazetek i ulotek, ujawnianiem ukrywanych faktów, porozumieniem z władzami rektorskimi, łagodzeniem skutków represji spadających na szczególnie aktywnych kolegów-opozycjonistów. Kto chciał, brał udział w demonstracjach, manifestacjach czy nabożeństwach patriotycznych, ale sami ich nie organizowaliśmy.

**AMK** – *Prowadzono także szeroko zakrojone zbiórki pieniędzy...*



**JS** – Tak, te zawsze były potrzebne. Pomoc potrzebującym była sferą działania profesor Anny Krzysztofowicz i profesor Ewy Miodońskiej. Obie panie współpracowały z Arcybiskupim Komitetem Pomocy Więzionym i Internowanym. W naszym Instytucie te składki były oczywiście dobrowolne; kto chciał, przynosił pieniądze do profesor Krzysztofowicz, najczęściej odbywało się to po wypłacie.

**AMK** – *Nie protokołowano posiedzeń Tajnej Komisji...*

**JS** – Nie, niczego się nie zapisywało. Wszyscy znaliśmy się, lub poznaliśmy się po pierwszym spotkaniu, i mieliśmy do siebie pełne zaufanie.

**AMK** – *Zapewne w Tajnej Komisji nie wszystkie opinie były jednakowe. Czy jakoś je uzgadniano, czy odbywały się głosowania?*

**JS** – Nie pamiętam, aby jakiś problem wywołał poważną różnicę zdań lub wewnętrzny konflikt. Były wymagające podjęcia wspólnej decyzji sprawy, które rozpatrywało się z różnych punktów widzenia. Jeżeli ktoś miał zdanie odmienne od innych, to zawsze dochodziliśmy do porozumienia. Profesor Godłowski, a także profesor Pułaski przychodzili na posiedzenia ze swoimi przemyśleniami i koncepcjami, które przedstawiali i oczekiwali uwagi. Nie przypominam sobie, aby były jakieś spory, kłótnie czy głosowania. Na Uniwersytecie jest niewielu, albo nie ma wcale ludzi o skrajnych, nieprzejednanych postawach. Raczej wszyscy są skłonni do dialogu i rozwiązań kompromisowych.

**AMK** – *Jak dalece Tajna Komisja przestrzegała zasad konspiracji?*

**JS** – Struktury „Solidarności” na Uniwersytecie Jagiellońskim działały jako gremia osób znających się wzajemnie. Ja nie przypisywałem przesadnego znaczenia zasadzie ścisłej konspiracji. Wychodziłem z założenia, że nie jesteśmy fachowcami w dziedzinie tajnych działań i gdyby SB uznało, iż jesteśmy naprawdę groźni, to i tak szybko i łatwo by nas rozpracowało. Natomiast Basia Niemiec miała inne pojęcie konspiracji, uważała, że bywa śledzona i w każdej chwili może zostać aresztowana. Oczywiście, wszyscy zachowywali podstawowe zasady bezpieczeństwa, ale w granicach zdrowego rozsądku. Raczej nie brałem pod uwagę możliwości poważnych represji. To był – można tak powiedzieć – za niski szczebel. Tajniacy zajęci byli Hutą czy innymi zakładami przemysłowymi o dużym znaczeniu dla gospodarki państwowej. Uniwersytet miał znaczenie opiniotwórcze, prestiżowe i moralne, ale tak naprawdę... W prawie niezmiennym składzie dotrwaliśmy do końca, do 1989.

**AMK** – *Czy Tajna Komisja miała kontakty ze strukturami podziemnej „Solidarności” na innych uczelniach?*

**JS** – Właśnie ja zostałem delegatem Uniwersytetu Jagiellońskiego do tajnej Międzyuczelnianej Komisji Porozumiewawczej. Byli w niej przedstawiciele wszystkich wyższych uczelni Krakowa, po jednym lub dwóch – w zależności od wielkości uczelni. Z AGH były dwie osoby: Krzysiek Kułakowski i Jurek Wenda, z Akademii Rolniczej Stefan Skiba, z Akademii Medycznej profesor Zbigniew Chłap, z Politechniki Krakowskiej profesor Ludwik Górski. Był także wspólny przedstawiciel Akademii Sztuk Pięknych, Muzycznej i Teatralnej oraz przedstawiciel Wyższej Szkoły Pedagogicznej i Akademii Wychowania Fizycznego. Nie znam wszystkich nazwisk, bo nie przedstawialiśmy się sobie. Spotykaliśmy się w naszym mieszkaniu przy ul. Smoleńsk albo w mieszkaniu Jurka Wendy przy ul. Grodzkiej, naprzeciw kościółka św. Idziego.

Informowaliśmy się nawzajem, co robią lub co planują uczelniane komisje „S”. Dwie osoby z naszego grona (jedną był Jerzy Wenda) jeździły do Warszawy na posiedzenia Komisji Porozumiewawczej wszystkich polskich uczelni i przywoziły wytyczne, które były przekazywane do tajnych komisji uczelnianych w celu koordynacji działań. Praca Komisji zaczęła się w połowie 1981. To był jedyny oficjalny kontakt naszej uniwersyteckiej Tajnej Komisji z innymi uczelniami, ale przecież to właśnie przepływ informacji prywatnymi drogami jest najsprawniejszy.

**AMK** – *Czy Tajna Komisja utrzymywała kontakty z robotniczymi organizacjami „Solidarności”?*

**JS** – Tym zajmowała się Basia Niemiec. O ile się nie mylę, raz na zebranie Tajnej Komisji, gdy miała być uzgodniona sprawa strajku w rocznicę stanu wojennego, Basia Niemiec przyprowadziła Ryszarda Bociana. Jeżeli ktoś był z zewnątrz, to raczej nie był przedstawiany (Basia zachowywała tego typu pozory konspiracji), ale jego akurat prawie wszyscy znali. Kiedyś przyszedł Stefan Jurczak, bywał Jerzy Zdrada, działacze wyższych poziomów struktur „S”.

Po zawieszeniu stanu wojennego mieliśmy wytypować kogoś, kto pojechałby do Paryża, w raczej nieoficjalnej grupie działaczy „Solidarności” z Krakowa, głównie z Huty, na zaproszenie związkowców francuskich. Od nas, z Instytutu Zoologii, pojechał wtedy dr Henryk Głąb.

**AMK** – *Czy mieliście świadomość inwigilacji Uniwersytetu Jagiellońskiego przez bezpiekę?*

**JS** – Ja takiego poczucia nie miałem. Cały czas różni ludzie mówili coś w stylu: „a to ten, to tamten”. O pewnych rzeczach ubecja prawdopodobnie nie miała pojęcia, np. o tej drukarni, przeniesionej do Zoologii z Instytutu Chemii, choć – jak się potem okazało – wiele osób o niej wiedziało i cała



akcja nie była aż tak tajna, jak się nam wtedy wydawało. Gdyby ubecja miała o tym informacje, to prawdopodobnie by nas nakryli; ludzie są tylko ludźmi, nie ma możliwości wszystkich spacyfikować i dlatego wybierano najbardziej aktywnych i najgroźniejszych, ale drukarnia to była rzecz oddziałująca na zewnątrz, łakomy kąsek dla bezpieki. Z tego wynioskowaliśmy, że u nas w Instytucie nie było konfidenta SB.

**AMK** – *Czy ma Pan jakieś wspomnienia związane z profesorem Kazimierzem Godłowskim?*

**JS** – Profesor Godłowski to była wyjątkowa postać! Był on w pełnym znaczeniu tego terminu profesorem Uniwersytetu – przekonany o swojej pozycji zarówno naukowej, jak i towarzyskiej, w stylu przedwojennego profesora; wielki autorytet, jedna z najwybitniejszych postaci polskiej archeologii. Wszystkie sprawy, które poruszał, zawsze miał bardzo dobrze przemyślane i wyważone.

**AMK** – *Czy jego osobowość dominowała w Tajnej Komisji?*

**JS** – Trudno mówić o zdominowaniu Komisji, jednak jego styl bycia zbliżony był do mentora: tego pochwalić, tamtemu wytknąć braki. Profesorów w Komisji traktował na poziomie „Szanowny Panie Kolego”, pozostali, głównie doktorzy, powinni raczej przysłuchiwać się, uczyć i ważyć słowa.

**AMK** – *Ktoś mi powiedział, że na Uniwersytecie „Solidarność” to był ruch adiunktów.*

**JS** – Tak. „Solidarność” jako ruch to było w największym procencie pokolenie wojenno-wczesnopo wojenne, niektórzy nieco starsi, inni nieco młodszy. W środowisku akademickim byli to w znacznej części tzw. niesamodzielni pracownicy naukowcy, co zresztą było naturalne, ponieważ wynikało przede wszystkim ze struktury zatrudnienia.

**AMK** – *Tajna Komisja Zakładowa „Solidarności” Uniwersytetu Jagiellońskiego dotrwała do końca systemu w 1989 roku.*

**JS** – W ostatnim niemal roku trudno nas już było nazwać Tajną Komisją, bo prawie wszyscy już wiedzieli, kto i co. Spotykaliśmy się już nieco rzadziej, mniej było spraw, które wymagałyby szybkich uzgodnień. Początkowy entuzjazm członków „S” powoli wygasł, zmniejszała się liczba chętnych do pracy na rzecz Związku. Po ponownej legalizacji „Solidarności” część członków Tajnej Komisji podjęła pracę w jawnych już strukturach, kiedy odbyły się w „Solidarności” nowe wybory.

Potem w całym, najszerzej rozumianym środowisku solidarnościowym zaczęły się dziać różne dziwne dla mnie rzeczy. Gdy okazało się, że praca dla „Solidarności” przestała się wiązać z jakimkolwiek ryzykiem, zaczęły się

pojawiać różne zaskakujące sprawy, np. związane z karierą, spory o racje itp. Mnie one już zupełnie nie interesowały.

**AMK** – *Czy był Pan zaangażowany w kampanię przed wyborami 1989 roku?*

**JS** – Byłem mężem zaufania Jerzego Zdrady. Dostałem przydział do Komisji Wyborczej w Kwaczale koło Alwerni. Tamtejszy wójt jako przewodniczący Komisji omal nie dostał apopleksji, gdy policzono głosy – tak się zdenerwował, że nie potrafił napisać protokołu powyborczego. Ja – przedstawiciel opozycji, niebędący członkiem Komisji Wyborczej – sporządziłem ten protokół.

Bardzo zdegustowała mnie tzw. gruba kreska Mazowieckiego. Uważam, że był to błąd, którego konsekwencje odczuwamy do dzisiaj. Rozumiem wprawdzie różne uwarunkowania i racje stanu, ale nie wszystkie obietnice polityków były i są konsekwentnie wypełniane.

**AMK** – *Jak z perspektywy wielu lat postrzega Pan ten okres swojego życia?*

**JS** – Patrzyło się wtedy na rzeczywistość i w przyszłość zupełnie inaczej. Prawie bez wyjątku wszyscy działacze tajnej „Solidarności”, z którymi stykałem się, to byli ludzie naprawdę wspaniali. Chodziło o nowy kształt Polski i społeczeństwa, zapewne inny niż ten, którego dziś doświadczamy. Prywatnie uważam, że wiele szans zostało zaprzepaszczonych, a efekty rozminęły się z moimi oczekiwaniami. Nie mówię tu o Uniwersytecie, ale o solidarnościowym ruchu w kraju: entuzjazm ludzi i ich dobre chęci zostały wykorzystane w wielu przypadkach przez różnego typu karierowiczów, którzy podpierając się, prawdziwą lub nie, przeszłością opozycyjną, pracowali nad stworzeniem sobie dobrego startu do wielkiej polityki albo do interesów. Mogłem to oglądać na własne oczy, będąc przez jedną kadencję radnym w Radzie Dzielnicy I Miasta Krakowa. Dlatego potem wycofałem się z aktywności społecznej; nie byłem zainteresowany robieniem kariery. Należałem nadal do „Solidarności” Uniwersytetu Jagiellońskiego, ale widziałem, że stopniowo podupada jej znaczenie i aktywność.

Nie traktuję jednak tamtego czasu jako okresu daremnych wysiłków. Wydaje mi się, że robiłem to, co każdy w tych warunkach powinien robić, jeżeli chciał coś zmienić.

Tekst autoryzowany 7 lutego 2010